NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie K 16·30, Mk 10·90. Półrocznie K 32·60, Mk 21·80. Rocznie K 65·20, Mk 43·60. W Austryi: Kwartalnie K 16·30. Półrocznie K 32·60. Rocznie K 65·20. W Niemczech: Kwartalnie Mk 10·90. Półrocznie Mk 21·80. Rocznie Mk 43·60 z przesyłką pocztową.

Zmiana adresu 60 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Wyłączne zastępstwo na Warszawę i Królestwo Polskie: Zygmunt Bereda, Warszawa, Marszałkowska 119. Łódź, Piotrkowska 62.

Numer pojedynczy 1 kor. 30 hal. — 88 pf.

Rok XVI. Kraków, 8 marca 1919. Nr. 10

Wojsko polskie wraca z Francyi.



Wręczenie sztandaru I-go pułku strzelców polskich.

Treść numeru:

Wojsko polskie wraca z Francyi.

Z utęsknieniem oczekuje społeczeństwo polskie powrotu wojsk gen. Hallera. Te 30 000 żołnierzy, dobrze uzbrojonych, doskonale wyćwiczonych, karnych i pełnych ducha narodowego, może odegrać decydującą rolę w walkach, które rozgorzały na naszych granicach. Chwila powrotu zbliża się. Już w przyszłym tygodniu armia gen. Hallera wyruszy do Polski. Misya koalicyjna, której Paryż zostawił decyzyę w tej sprawie, wypowiedziała się za przybyciem.

Podpułk. Marchalle przybył do Polski w celu przygotowania środków komunikacyjnych i aprowizacyjnych dla tych wojsk.

Podpułk. Marchalle, omawiając przyczyny, dla których armia gen. Hallera nie powróciła dotychczas do ojczyzny wskazał na to, że powodem opóźnienia były wyłącznie stosunki transportowe. Przede wszystkiem należało zebrać odpowiednią ilość okrętów, następnie zaś opracować plan przejazdu z Gdańska po drodze jeszcze z min nie oczyszczonej. Również droga z Gdańska do Warszawy, wiodąca przez kraj wrogi, wymagała uprzedniego zabezpieczenia. Nareszcie wchodziło tu w grę przygotowanie odpowiedniej liczby wagonów i prowiantów.

Wszystkie te przeszkody zostały już obecnie szczęśliwie przełamane i armia gen. Hallera może z obcej ziemi powrócić nareszcie do wolnej ojczyzny.

Żywność z koalicyi dla Polski.

Polska może już obecnie z otuchą spoglądać w przyszłość, bo żywności nam nie zabraknie. Koalicya dotrzymując umowy rozpoczęła transport środków aprowizacyjnych.

Według ostatnich doniesień okręt, który przybył do Gdańska wiezie 1000 ton żywności dla Polski. Żywność będzie przewieziona do Warszawy i będzie rozdzielona przez zarząd lokalny.

W ciągu ostatnich trzech tygodni przybyło do Gdańska 17 tysięcy ton żywności dla Polski.

Są to pierwsze transporty z ogólnej ilości 50 tysięcy ton, która ma być miesięcznie przysyłana.





Rusini zerwali rozejm polsko-ukraiński:
Przegląd kompanii honorowej przez generała Barthélemy w Bartatowie (koło Mszany). (Fot. K. Schaller)
Generał Barthélemy udaje się do głównej kwatery pułk. Sikorskiego w Bartatowie (Po prawej stronie generała Barthélemy pułk. Sikorski).

Rusini zerwali rozejm polsko-ukraiński.

Dnia 1 marca Rusini zawiadomili misyę koalicyjną we Lwowie, że zrywają rozejm zawarty z wojskami polskiemi i od godziny 5 rano rozpoczynają bombardowanie Lwowa.

Zuchwalstwo i bezwstyd rusińskich hajdamaków odsłoniły się teraz w całej jaskrawości przed oczyma Europy. Nie chcąc czekać na ułożenie jakiegoś modus vivendi, zrywają się znowu do walki, znowu rozpoczynają przelew krwi.

Rusini chcą wymusić, chcą grozić. Trzysta granatów, rzuconych na Lwów w nocy, tuż przed rozpoczęciem rozejmu miało być upomnieniem wido-



Żywność z koalicyi dla Polski: Koalicyjna misya aprowizacyjna-ratunkowa: M. Marchasson, przedstawiciel Francyi, pułk. William Grove, przedstawiciel Stanów Zjednoczonych, pułk. S. Tallents, przedstawiciel W. Brytanii



Prace Sejmu w Warszawie: J. Piłsudski i J. Paderewski udają się na obrady do gmachu sejmowego

cznie, że krwawy szał pocisków, wymierzonych przeciwko bezbronnym mieszkańcom może powtórzyć się każdej chwili.

Ale postąpienie obecne Rusinów będzie miało skutek zupełnie inny, niż się hajdamacy spodziewają! Państwo polskie odpowie na ten gwałt z całą mocą, jaka cechowała zawsze żołnierza polskiego. Walka wchodzi w okres najstraszliwszy, w okres bez pardonu, do ostateczności!

W Sejmie zapadła uchwała, aby pospieszyć Lwowowi z pomocą. To też naród spodziewa się, że rząd polski i naczelnik państwa jak najspieszniej wykonując tę uchwałę, wyślą odpowiednie siły na odsiecz nieszczęsnemu miastu.

Zerwanie rozejmu z Polakami jest zarazem wyzwaniem, rzuconem pośrednio przez Rusinów koalicyi. Na niczem bowiem spełzły usiłowania misyi wojskowej, na której czele stał generał Barthelémy.

Powinna więc obecnie koalicya pomóc Polakom wszystkimi środkami, jakimi w danej chwili rozporządza, a przedewszystkiem wykonać swą groźbę odnośnie do wkroczenia dwóch korpusów rumuńskich do Galicyi wschodniej.

Prace Sejmu w Warszawie.

Ustawodawcze prace w Sejmie warszawskim postępują naprzód. Po ożywionej dyskusyi nad



Prace Sejmu w Warszawie: Przed otwarciem Sejmu.



Prace Sejmu w Warszawie: Naczelnik Piłsudski w otoczeniu adjutantów.

sprawą uzdrowienia stosunków w armii, uchwalono prawie jednomyślnie wniosek posła Witosa i towarzyszy:

„Sejm wzywa sejmową komisyę wojskową, aby niezwłocznie wysłała do poszczególnych obozów zbornych dla nowozaciężnych komisye złożone z kilku członków celem stwierdzenia stanu wyekwipowania, umieszczenia i traktowania żołnierzy“.

Sejm wzywa rząd, aby natychmiast podjął u państw ententy odpowiednie kroki celem nabycia u nich materyałów dla wyekwipowania armii i aby dla pokrycia koniecznego zapotrzebowania zarządził bezzwłoczne rekwizycye bielizny, płótna na bieliznę, sienników i koców w sklepach i magazynach się znajdujących, oraz przez spekulantów ukrywanych.

Uchwalono też w Sejmie projekt ustawy w sprawie wydawania drzewa budulcowego do odbudowy zniszczonych gospodarstw. Przyczem postanowiono zażądać od Niemców zwrotu wywiezionego drzewa (wywieźli 40 mil. metr. kub.).

Załatwiono też definitywnie sprawę polskiej jednostki monetarnej. Jednostką monetarną w Polsce ma być „złoty“, którego setna część nazywa się „grosz“.

W ten sposób więc dekret z dnia 5 lutego w sprawie „lecha“ zostaje uchylony, a ustawa wchodzi w życie z dniem ogłoszenia.

Lemiesz pokojowy.

W Muzeum pokojowem w Genewie znajduje się lemiesz pokoju, zrobiony ze szpad uczestników kongresu Wiedeńskiego w 1816 r.

Uchwały tego kongresu nie przyniosły ludności trwałego pokoju, bo nie były oparte na zasadach sprawiedliwości i prawa narodów, ale na przemocy despotycznych rządów i przez to stały się zarzewiem nowych wojen.

Obecnie po kilkoletniej, straszliwej burzy światowej zebrała się w Paryżu znowu konferencya pokojowa, która ma dać ludzkości upragnioną zgodę narodów. Runęły mocarstwa zaborcze, które rozdarły Polskę — na ich gruzach buduje się dzieło sprawiedliwego pokoju.

Zniweczony został militaryzm pruski, który uznawał jedynie prawo bagnetu i armaty!

Oby przyszły lemiesz pokoju, który zaiste powinien być zrobiony z niemieckich bagnetów, stał się godłem trwałego braterstwa narodów.

W bombardowanym Lwowie.

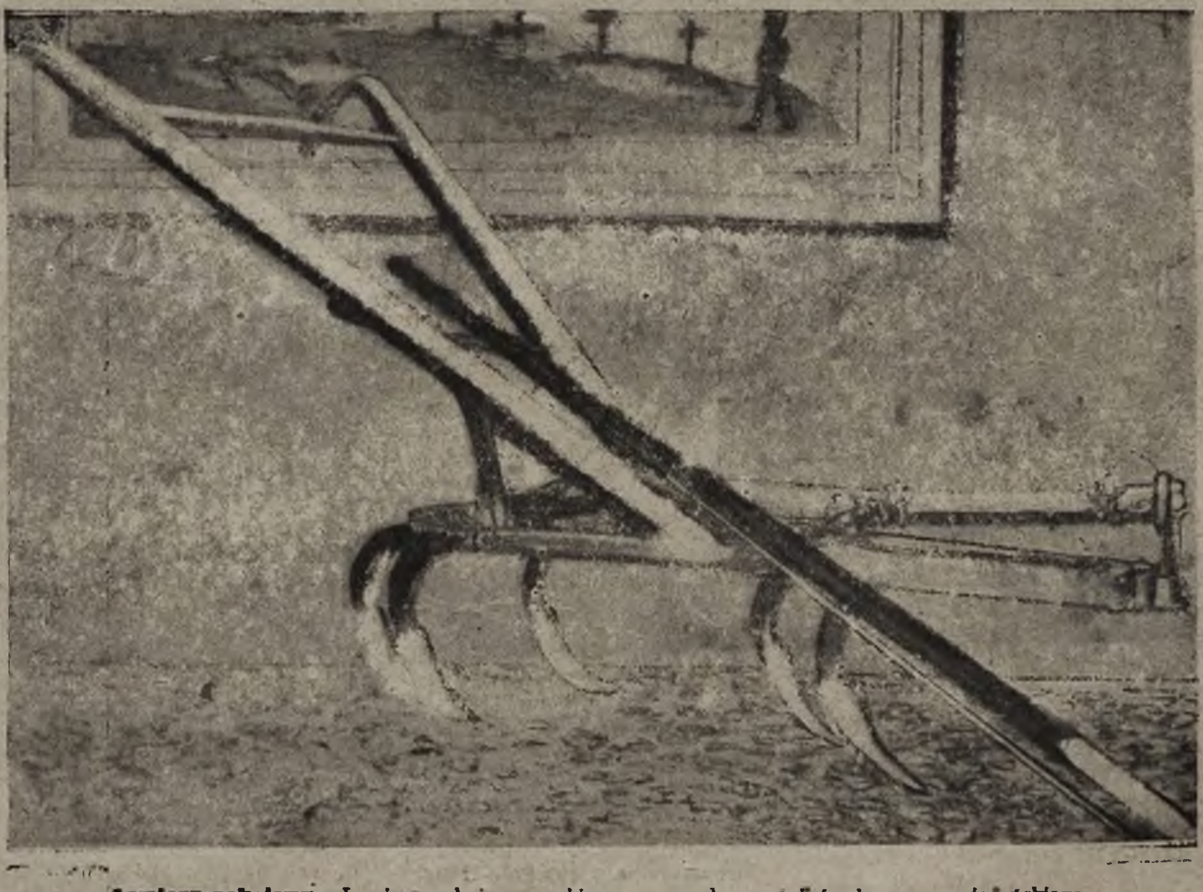
Miasto Lwów, ta placówka polskości we wschodniej Galicyi, staje się coraz droższem sercom polskim przez swoje męczeństwo.

Dzielni Lwowiacy od tylu tygodni żyją pod grozą rusińskich pocisków. Hajdamacy w sposób iście barbarzyński ostrzeliwują bezbronne miasto.

Pociski działowe wpadają do domów, szerząc straszliwe spustoszenia. Niejedna ofiara przypłaciła już życiem ten hajdamacki sposób walki.

Padały na ulicach kobiety, spieszące po sprawunki, broczyły krwią swą bruk lwowski dzieci, huk pękającego pocisku budził spokojnych mieszkańców ze snu. Istnieją ulice, na których niema ani jednego nie uszkodzonego domu.

Po zerwaniu rozejmu huk dział stał się znowu



Lemiesz pokojowy: Lemiesz pokojowy zrobiony ze szpad uczestników kongresu wiedeńskiego

powszednią muzyką we Lwowie. Ukraińcy ostrzeliwują miasto w różnych punktach. Pociski uszkodziły wiele budynków.

Nie obeszło się oczywiście także bez tego, że tu i ówdzie odłamki granatów raniły kogoś. Między innymi granat poszarpał rękę p. Michała Zborowskiego, którego w stanie groźnym odwieziono do szpitala powszechnego.

Dnia 4 marca Ukraińcy przez cały dzień bardzo gęsto ostrzeliwali miasto. Granaty i szrapnele padały na centrum miasta. Naliczono przeszło 300 pocisków. Wiele osób jest ranionych. Pogotowie ratunkowe pracowało bez przerwy. Granaty i pociski padały także w okolicy dworca kolejowego. Szkody wojskowej nie było. Jeden z pocisków spowodował pożar przy ul. Zamojskiego 10. Pogotowie miejskiej straży pożarnej i wojskowa straż pożarna zjawiły się na miejscu i ogień rychło ugasiły. Przy gaszeniu pożaru była pomocną także ludność cywilna.

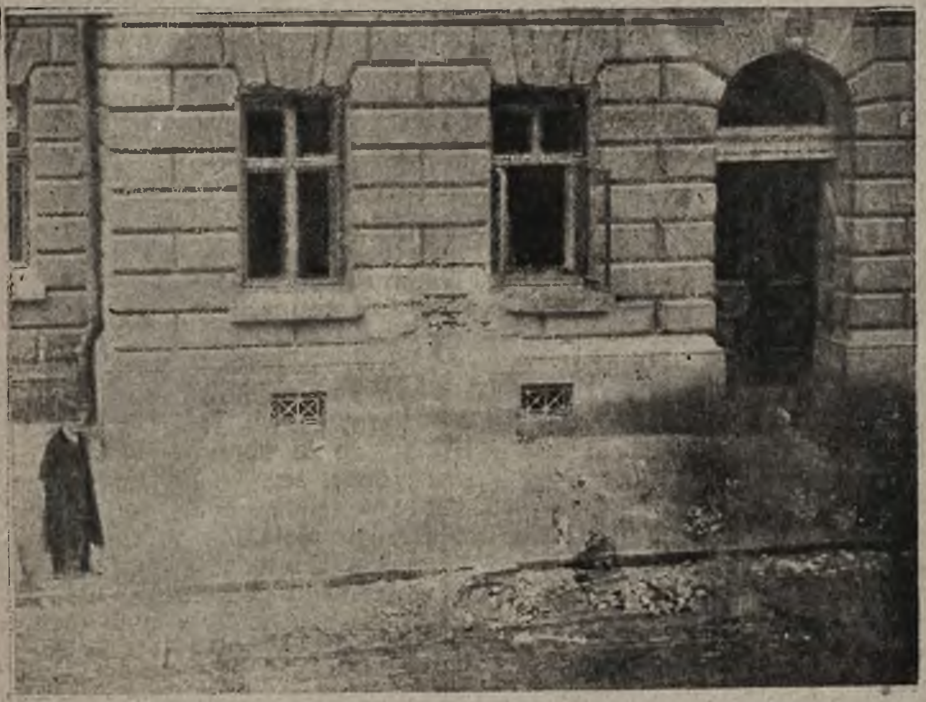
Z walk na Wołyniu.

Ostatnie walki na Wołyniu miały przebieg dla wojsk naszych bardzo szczęśliwy.

Grupa, operująca tam pod komendą generała Śmigłego Rydza, odniosła kilka pięknych sukcesów nad oddziałami ukraińskimi.

Od kilku dni Ukraińcy, przygotowując się do operacyi, na nowo zgromadzili większe siły w okolicy Włodzimierza Wołyńskiego, Torczyna i Rużyszcz.

Aby uprzedzić nieprzyjaciela i nie dopuścić do jego ofenzywy, wysłano skombinowany oddział pod dowództwem dzielnego majora Lisa Kuli. W nocnym marszu dotarł on do linii straży nieprzyjacielskich, rozerwał je pod Oryszczem i stoczył bój z dwoma ukraińskimi pułkami w Poryczku Starym, przyczem odznaczyły się bataliony włocławskiego i chełmskiego pułku, szwadron rotmistrza Jaworskiego i batalion kulomiotów. Wzięto do niewoli sztab pułku krzemienieckiego, około stu jeńców, trzy armaty z uprzężą, pięć kulomiotów, siedm kuchni polowych i materyał telefoniczny.





Fasada gmachu wyższego sądu. Granat nie eksplodujący. **W bombardowanym Lwowie:** Granat w gmachu Namiestnictwa na III. piętrze.

Trzeba nakarmić i odziać polskiego żołnierza!

Na czterech frontach zmartwychwstałej Polski rozgorzała wojna. Pokonany Prusak nie chce jeszcze zrezygnować ze swych zaborczych dążeń, jeszcze grozić usiłuje, pragnąc koniecznie zatrzymać pod swoją władzą bogate, chlebodajne ziemie polskie. Godny następca butnego żołdaka pruskiego — czeski aneksyonista wyciąga również chciwe ręce po czysto polską ziemię, po Śląsk Piastowy.

Trzeba nam więc wojska dobrze uzbrojonego i dobrze zaopatrzonego. Kto państwu daje pieniądze, ten odziewa i karmi żołnierza, a tem samem przyczynia się do skutecznej obrony granic naszych.



Wspomnienia o generale Hallerze: Generał Haller w otoczeniu Legionistów w Zakopanem.

Adam Wiaryga-Minieski.

JAK KRUKI.

Powieść z dni ostatnich.

30

W tej chwili w bramie ukazała się Rózia Goldbaumówna, ubrana w ciemny, skromny, bardzo gustowny kostyum. Panienka zdawała się być zamyślona i smutna.

— List mam dla pani — zatrzymał ją listonosz.

— Doprawdy? — ucieszyła się tak, że aż rumieńce oblały jej twarz.

W pani Dowgirdowej drgnęło podejrzliwe przeczucie. Szybko rzuciła wzrokiem na list w prostej białej kopercie który Rózia wzięła z rąk listonosza.

Jedno spojrzenie wystarczyło. Poznała bujne, wyraźne pismo Tadeusza.

— Do niej pisze!... Do niej!... A do mnie... do matki ani słowa!...

Żal, gniew, ból obrażonej macierzyńskiej miłości odebrały pani Dowgirdowej panowanie nad sobą.

Ciężko dysząc, z pociemniałemi oczyma stanęła przed dziewczyną i rzuciła jej prosto w twarz:

— Bezwstydna!... — rękę wyciągnęła przed siebie, jakby chcąc wydrzeć Goldbaumównie list.

Rózia zbladła, cofnęła się przyciskając kopertę do piersi. Na obelgę nie odpowiedziała jednak słowami oburzenia, nie wybuchnęła. Wyraziste, piękne oczy zalśniły łzami, a z ust wydobyło się ciche, żałosne westchnienie:

— Och! Pani... pani... gdyby pani...

Ta pokora dziewczyny nie przejednała pani Dowgirdowej. Postanowiła skorzystać ze sposobności, aby raz nareszcie rozmówić się ze „żydowicą".

— Żądam aby pani zerwała korespondencyę i wogóle wszelkie stosunki z moim synem!

Rózia bardzo blada, głęboko wzruszona, otarła krople łez, zwisające na jej rzęsach. Nie spuszczała już głowy, nie cofała oczu przed gniewnem spojrzeniem wzburzonej kobiety.

— Nigdy! — odpowiedziała z mocą — dopóki on sam tego nie zażąda!

— — — — — — — — — — — —

— Cóż to szyjesz tak pilnie, Wandziu? Widzę, że coś ładnego — rzekła Rózia, pochylając się nieco nad pięknym haftem, który przyjaciółka trzymała w ręku.

Wanda Borowicka nie podniosła głowy z nad swej roboty, nie oderwała od niej wzroku. Może ta praca pochłaniała ją tak mocno, a może też chciała ukryć falę krwi, co przepłynęła po alabastrowych policzkach i przygasić iskry gorączkowego podniecenia, błyszczące w oczach.

— To będzie poszewka na poduszkę. Prawda jakie ładne płótno? To mamusia chowała całą sztukę przedwojennego płótna na wyprawę dla mnie.

Ostatnie słowa wymówiła ciszej, jakby jakoś wahająco, ale igła żywiej w jej cienkich, smukłych, giętkich palcach artystki migotać poczęła.

— Na wyprawę... — powtórzyła Rózia tonem, w którym mimo, a nawet wbrew jej woli zadźwięczało zdziwienie — ty idziesz za mąż, Wandziu?

Wanda wyprostowała się spojrzała przyjaciółce prosto w oczy. Przez cudnie rzeźbione rysy przelatywały drgnienia nerwowe, subtelny łuk różowych warg drżał lekko.

— Co za dziwne pytanie! — rzuciła z widocznem rozdrażnieniem — pytasz, jakbyś z nieba spadła!... Czy nie wiesz, że jestem zaręczoną?! Że mam narzeczonego?!

Głos panny Borowickiej brzmiał prawie ostro, wyzywająco.

Rózia wzięła ze stolika jakąś książkę i zaczęła z ogromną pilnością przeglądać.

— Ależ oczywiście, że wiem — bąknęła zmieszana — tylko nie wspominałaś mi, że ślub twój nastąpi już wkrótce.

Rumieńce ogniste na licach Wandy i płonace iskry w jej czarnych oczach przygasły. Jasna głowa skłoniła się znowu nad kawałkiem zahaftowanego płótna. Przez chwilę dziewczyna nie odpowiadała, z uwagą nawlekając igłę cieniutkim białym jedwabiem.

— Termin jeszcze nie oznaczony — wyrzekła, a Rózi zdawało się, że głos koleżanki dziwnie się zmienił — to zależy od pewnych okoliczności... czy Kazio... Ale w każdym razie przygotowywać wszystko trzeba. Jak będziesz sama szła za mąż, to dopiero dowiesz się, ile to zachodu wymaga. Ja mam już sporo rzeczy... O!... popatrz!...

Złożyła robotę i pociągnęła Rózię ku szafie, dużej szafie z jasnego drzewa.

Na półkach leżały porządnie poukładane stosy bielizny: batystowe koszule o koronkowych lub haftowanych karczkach, różnobarwne powiewne matinki, kilka obrusów z czysto lnianego płótna z pięknym, subtelnym deseniem, ręczniki z dużym, kunsztownym monogramem: W. R

— Niektóre rzeczy miałam już z dawna, trochę mamusia mi dała. O! te obrusy naprzykład to z wyprawy maminej. Mama dostała śliczną, bogatą wyprawę. Najwięcej sama sobie poszyłam. Trudno to idzie, bo wszystko takie drogie, nawet igły i nici, ale robi się.. Musi się zrobić...

Wyrazista twarz Wandy mieniła się jak jakiś żywy, ruchomy obraz. Malowały się na niej naprzemian radość i cichy smutek, nadzieja i nerwowy jakiś niepokój, rozmarzenie miłosne i z trudem hamowane rozdrażnienie.

Rózia oglądała ręczniki, obrusy, chusteczki, i to oglądała tak uważnie, jakby się ich deseni na pamięć nauczyć zamierzała, ale na przyjaciółkę nie patrzyła. Nie śmiała poprostu, bała się. Ukradkiem tylko obserwowała Wandę, widziała jej ruchy nerwowe, mieniące się rysy twarzy. Skonstatowała, że Wanda zeszczuplała bardzo, a w linii jej ust i na dnie oczu czai się, jak przemocą na uwięzi trzymane zwierzę — ból.

— Ona chce się oszołomić temi przygotowaniami do ślubu, Wmawia w siebie gwałtem to, w co wierzyć przestaje. Kocha go i cierpi bardzo.

Czyż podobna bowiem, aby Wanda nie słyszała o tem, o czem mówią już szeroko w mieście że piękny Kazimierz Rawicz ma się żenić z milionową dziedziczką Burczykiewicza. Miasto tak niewielkie, a ludzie tak złośliwi przecież. Zresztą chyba i w jego zachowaniu musi być jakaś wyraźna zmiana.

Ale Wanda snać widzieć i słyszeć tego nie chce... Zatrzymać go pragnie pomimo wszystko.

Gdzie ambicya, gdzież godność tej pięknej, szlachetnej dziewczyny, która dawniej z taką królewską dumą umiała mówić o mężczyznach.

— Miłość nie zna ambicyi... nie zna dumy... A gdyby tak Tadek...

Rózia uczuła, że na tę myśl samą serce podchodzi jej do gardła i dławi, jakby udusić chciało.

— Mój Tadek inny... inny...

Gdyby całym wysiłkiem woli nie panowała nad sobą, byłaby zapłakała głośno nad smutną dolą Wandy. Na wspomnienie zaś o Rawiczu zaciskała zęby z gniewu.

— Pan Kazimierz pewnie cieszy się bardzo, że już tyle rzeczy przygotowałaś na wasze przyszłe gospodarstwo? — rzuciła nagle podstępne pytanie.

Wanda przygryzła zębami wargę tak mocno, że aż ukazała się drobna, jak purpurowa perełka, kropla krwi. Palce jej rąk zaplotły się kurczowym ruchem na czarnym alpagowym fartuchu

Walczyła ze sobą. Paliło ją pragnienie aby dać Rózi odpowiedź potwierdzającą, ale kłamać nie umiała.

Zamknęła szafę i powróciła do swojej roboty.

— Miałabym mu też czem głowę zaprzątać jak takimi drobiazgami, kiedy on poważnie i ciężko pracuje. Oczywiście, że mu wcale tych fatałaszek nie pokazuję.

— I nawet o ślubie z nim nie mówisz, bo on tego tematu unika — pomyślała Rózia, na której wymuszony spokój przyjaciółki przygnębiające wywierał wrażenie. Zwłaszcza, że przeczyły mu dwie cienkie, bolesne fałdki, obciągające w dół kąty usj.

Zapanowała cisza przykra, kłopotliwa. Była to dla obu dziewcząt sytuacya zupełnie nowa i dziwnie niemiła. Dotychczas nie miały przed sobą tajemnic.

Wreszcie Rózia pierwsza przerwała milczenie jakąś obojętną uwagą, na którą Wanda nie odpowiedziała wcale, może zatopiona we własnych myślach nie słyszała jej nawet, bo niespodzianie zadała pytanie:

— Rózka, czy ty przypominasz sobie tę Burczykiewiczównę, którą spotkałyśmy u panny Julii?

Rózia drgnęła i jęła studyować deseń dywanika przed łóżkiem.

— Przypominam sobie...

— Takie niesympatyczne, brzydkie, nadęte, ordynarne dziewczysko. Prawda?

— Prawda...

— Ojciec jej to znany spekulant. Na lichwie żywnościowej dorobił się podczas wojny milionów.

— Tak jak i mój... Wiem.

— Otóż.. otóż wyobraź sobie... że... że ta dziewczyna zakochała się na zabój w Kaziu.

Z oczu Wandy wyraz smutku nie ustępował, chociaż starała się uśmiechnąć wesoło, lekceważąco.

I znowu chwila milczenia.

— Czy to pan Rawicz mówił ci o tem?

— Ach! gdzieżby znowu. To jakaś pani opowiadała mamie. I co za nonsensy ludzie plotą, pomyśl tylko, mówią, że...

Urwała, nie określając bliżej owych nonsensów, które ludzie plotą.

Rózia nie pytała jej o to. Wiedziała aż nadto.

— Ludzkie gadaniny najlepiej puszczać mimo uszu — rzuciła szybko, czyniąc sobie jednocześnie w duchu wymówkę, że okłamuje przyjaciółkę i pozwala jej dalej brnąć w złudzeniu. Może lepiej byłoby otwarcie wypowiedzieć całą prawdę, otworzyć Wandzie oczy.

Ale czy ona uwierzyć zechce i czy kuracya nie będzie boleśniejszą od choroby?

— Nie, nie! Niech jej już tam kto inny otwiera oczy. Ja nie mogę!...

Chcąc zmienić temat rozmowy, a zarazem ulżyć własnemu sercu, zaczęła opowiadać Wandzie przykrą scenę z panią Dowgirdową.

— Wandziu, jakie to straszne, że ona mnie tak nienawidzi!... Jak mnie to boli, że muszę klinem wbijać się pomiędzy Tadka i jego ukochaną matkę. Ale nie mogę przecież wyrzec się mojego chłopaka, unieszczęśliwić siebie i jego, bo on mnie kocha. List mi chciała odebrać, ten serdeczny, kochany list Tadzia.

Na wspomnienie o liście Tadka rozjaśniły się smutne, załzawione oczy, a wargi rozchyliły się uśmiechem szczęścia.

Wanda utkwiła w twarzy koleżanki spojrzenie chmurne, badawcze.

— Nie ufaj ty mu tak bezwzględnie — odezwała się posępnie — możesz się zawieść gorzko. Jeszcze nie wiesz, jacy bywają mężczyźni! Może on do ciebie czułe listy pisze, a z inną także...

Rózia nie pozwoliła jej dokończyć. Rozpłomieniona, z falującą piersią wykrzyknęła:

— Nie mów tak! Nie znasz go! Ja mu wierzę!

Igła wypadła nagle z palców Wandy. Płótno zesunęło się z jej kolan na podłogę.

Panna Borowicka przez chwilę ukryła twarz w dłoniach i milczała. Potem przesunęła ręką po oczach i podnosząc z ziemi swoją robotę, szepnęła cicho:

— Szczęśliwa!

Zegar stojący na komodzie cieniutkim głosikiem wydzwonił godzinę.

Wanda drgnęła.

— Ten zegar spieszy się stanowczo. To niepodobna, żeby już tak późno być mogło.

Rózia wyciągnęła swój zegarek z za paska.

— Ależ wcale nie spieszy się. Co do minuty zgadza się z moim.

Czarne, wązkie, subtelne. niby ręką wykwintnego artysty zarysowane brwi Wandy zbiegły się, tworząc ciemną linię na śnieżnie białem czole jasnej blondynki.

— Doprawdy? To późno już...

— A on nie przyszedł dzisiaj — dokończyła sobie w myśli Rózia, a głośno rzekła:

— To ja już chyba pójdę, Wandziu.

— Nie, Rózka, nie odchodź jeszcze... zostań! Nie gniewaj się na mnie, jeżeli powiem coś od rzeczy i że jestem jakaś taka... Ale widzisz każdy ma swoja urozmaicenia życiowe.

Uśmiechnęła się smutnie. Rózię uśmiech ten przeniknął do głębi serca, silniej niż byłby to uczynił jakiś wybuch dramatyczny.

— Wanduś! jabym się miała gniewać na ciebie!... Droga moja, wiesz, ja ci chciałam powiedzieć...

Wanda stała się nagle bardzo bladą.

— Co?! — rzuciła zmienionym, głuchym głosem.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Wspomnienia o generale Hallerze: Grupa oficerów legionowych z generałem Hallerem w pośrodku.

Komitet organizacyjny armii polskiej we Francyi.

Zanim we Francyi powstało Biuro werbunkowe dla Polaków, rozpoczął działalność swoją komitet werbunkowy, złożony z sześciu członków. Należał do niego literat Wacław Gąsiorowski, prócz niego pp. A. Szawklis, Jan Danysz, B. Bronisławski, B. Kozakiewicz i B. Motz.

Komitet werbunkowy rozstrzygał we wszystkich wypadkach, gdzie zachodziła wątpliwość co do narodowości polskiej danego ochotnika, oraz starał się bezpośrednio lub pośrednio dopomagać żołnierzom Polakom.

Na początku wojny Komitet werbunkowy wydał następującą odezwę:

„W chwili, kiedy cała Francya wita entuzyastycznie manifest, głoszący zmartwychwstanie Polski, kiedy wszystkie partye i wszystkie dzienniki francuskie uważają odbudowanie Polski za akt sprawiedliwości, który musi być wprowadzony w życie, kiedy Rząd francuski każe wyodrębnić Polaków wśród jeńców wojennych — Polacy, zamieszkujący ziemie francuskie, wyrażają Francyi wdzięczność swoją i oświadczają, że pragną brać udział w walkach przeciw wspólnemu wrogowi".

Wspomnienia o generale Hallerze.

Oczy całej Polski zwracają się obecnie z oczekiwaniem ku Francyi, gdzie dla odradzającej się ojczyzny przygotowuje karne zastępy wielki wódz wojsk polskich, gromadzących się we Francyi, gen. Haller. Jak donoszą ostatnie depesze z Paryża, przeszkody, które nie pozwalały na przewiezienie wojsk generała Hallera do Polski zostały ostatecznie usunięte i najdalej za kilka tygodni powitamy te dzielne zastępy znowu na polskiej ziemi. Około postaci wodza tej armii, generała Hallera gromadzą się obecnie wszystkie nasze uczucia. Spodziewamy się, że wraz z jego wojskiem położenie polityczne i militarne nasze poprawi się znacznie. Bądź co bądź przyprowadzi on zastęp stutysięczny, wyćwiczony i doskonale wyekwipowany, co w obecnej chwili stanowi poważny moment.

Wobec tego, że z osobą generała Hallera wiążą



Komitet organizacyjny armii polskiej we Francyi: Wacław Gąsiorowski, członek Komitetu.

się obecnie pośrednio bodaj koleje najbliższej naszej przyszłości, nie od rzeczy będzie przypomnieć sobie kilka chwil z jego pobytu w Galicyi przed tym momentem, który nas od niego na lata oddzielił. W dzisiejszym numerze dajemy dwie fotografie z czasów pobytu generała Hallera w zakładzie dra



Komitet organizacyjny armii polskiej we Francyi: Członkowie Komitetu i certyfikat przynależności wydawany żołnierzom Polakom.

Chramca w Zakopanem w r. 1916. Przebywał on wówczas w naszem letnisku na chwilowym wypoczynku, zanim koleje losu powołały go znowu do szeregów. Po kampanii wojennej 1915 r., w której zaszczytny brał udział, jako pułkownik przybył na kilka tygodni do Zakopanego, które spędził wśród żołnierzy i kolegów oficerów, otaczany zawsze miłością i przywiązaniem.

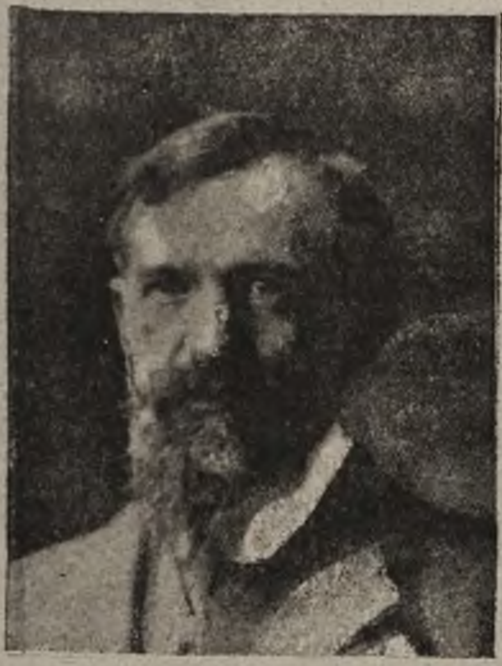
Illustracye nasze przedstawiają grupę ówczesnych kuracyuszów Legionistów zakładu dr. Chramca z oficerami, oraz bawiących wówczas w Zakopanem oficerów Legionowych z gen. Hallerem na czele.



Zaprzysiężenie pracowników poczty: Grupa urzędników poczty w Podgórzu.

Zaprzysiężenie pracowników poczty.

Wobec utworzenia prawowitego rządu polskiego i objęcia władzy w Polsce przez Sejm, stanowiący



Komitet organizacyjny armii polskiej we Francyi: Jan Danysz, członek Komitetu.

istotną reprezentacyę całego narodu, odbywa się obecnie zaprzysiężenie władz polskich w całym kraju. Ze względu na doniosłą chwilę składanie przysięgi ma charakter uroczysty. Przed kilku dniami w Krakowie odbyło się w sposób niezwykle uroczysty i dostosowany do obecnej historycznej chwili odebranie przysięgi służbowej od wszystkich pracowników poczty. Uroczystość rozpoczęła się o godzinie szóstej rano solennem nabożeństwem, które staraniem zespołu pracowników pocztowych odbyło się w kościele św. Krzyża.

W pięknie przystrojonym westibulu gmachu pocztowego, ozdobionym w orły i barwy polskie zgromadzili się wszyscy pracownicy pocztowi i duży zastęp zaproszonych gości; przedstawiciele inspektoratu, sekcyi telefonicznej i innych urzędów uświetnili swoją obecnością tę uroczystość. Do zebranych przemówił dyrektor urzędu pan Niwicki, który w słowach, pełnych polotu wskazał na ważność dnia dzisiejszego, na zadanie i obowiązki, których oczekuje społeczeństwo od poczty polskiej.

Następnie odczytano rotę przysięgi, której końcowe słowa: „Tak mi Panie Boże dopomóż i niewinna Syna Jego Męka", cały zespół pracowników powtórzył ze wzruszeniem i przejęciem.

Potem zabrała głos panna Habichtówna, która w przemowie duchem obywatelskim i patryotycznym nacechowanej, nawoływała do rzetelnej i ofiarnej współpracy, bo tylko jednolita i wytrwała praca może postawić instytucyę pocztową na takiej wyżynie, aby była przykładem dla poczt innych krajów.

Odśpiewaniem „Roty" Konopnickiej, wysłaniem telegramu hołdowniczego do Sejmu w Warszawie zakończyła się ta uroczystość, która u wszystkich biorących udział pozostawiła niezatarte wspomnienie przeżytej wielkiej chwili.

Na pamiątkę tej uroczystości wykonano zdjęcie fotograficzne.

W podobnie uroczysty sposób odbyło się zaprzysiężenie personalu pocztowego w Podgórzu.

Przy tej sposobności zwrócić należy uwagę na znamienny objaw.

Z trzydziestu urzędników i niższych funkcyonaryuszy narodowości ruskiej, pięciu nie złożyło przysięgi. Dwu urzędników prowizorycznie zwolniono na ich prośbę, gdyż obawiają się represyi na pozostałych członkach ich rodzin w Galicyi wschodniej, gdzie również mają realności. Ci urzędnicy oświadczyli, iż czują się Polakami, i natychmiast, po nastaniu normalnych stosunków w Galicyi wschodniej, złożą przysięgę na wierność państwu polskiemu. Trzech natomiast niższych funkcyonaryuszy oświadczyło, iż przysięgi nigdy nie złożą, gdyż są Rusinami; noszą się też z zamiarem opuszczenia Polski.

Dyrekcya poczt wysłała raport w tej sprawie do ministerstwa poczt w Warszawie z prośbą o wskazówki.



Zaprzysiężenie pracowników poczty: Urzędnicy i urzędniczki oraz dyrekcya pocztowa w Krakowie w dniu złożenia uroczystej przysięgi.

Leon Daudet.

Serce i nieobecność.

(Z francuskiego tłom. Marya Jadwiga Migowa).

4

Teraz mogła już czuć wedle własnej woli, rozmyślać jak się jej podobało, nie słysząc głosu małżeńskiego sumienia, przypominającego w pewnych chwilach starą, surową, nudną nauczycielkę gry na fortepianie: „Nie ta nuta, ale tamta! Proszę nie kręcić się na krześle, nie odwracać głowy i nie marzyć o niebieskich migdałach!"

Ta ulga, której doznała, przejęła ją oburzeniem na samą siebie. Zapragnęła ukarać się, udręczyć fizycznie i moralnie.

Przypomniała sobie, że obiecała malarzowi uwiadomić starą panią Darmelle o zniknięciu Ksawerego.

To zlecenie było ważnem. Postanowiła wykonać je natychmiast.

Pani Darmelle mieszkała na ulicy d'Assas w malutkiej willi, otoczonej pracowniami artystów. Żyła wśród pamiątek rodzinnych i portretów swego zmarłego od dwudziestu lat męża. Stoły, kominki, etażerki pokryte były fotografiami nieżyjących przyjaciół. Niektóre z nich poprzesłaniano krepą.

Co miesiąc przysyłano jej nową, niezgrabną służącą z Bretanii, z Normandyi lub z Owernii. Po kilku tygodniach każdej z tych młodych, wiejskich dziewcząt sprzykrzyło się życie wśród żałobnej atmosfery, dziękowała więc za służbę.

Sąsiedzi nazywali panią Darmelle „grabarką". Kiedy dowiedzieli się, że syn jej poszedł na wojnę, to żartowali: „Ona go odrazu uśmierci!"

Byli nawet tacy, którzy utrzymywali, że ona ma „złe" oczy i że trzeba splunąć trzy razy ilekroć się ją spotka. Jednakowoż stróżka pani Darmelle, korpulentna Magdalena Nadon, była zupełnie innego zdania i mówiła o swej chlebodawczyni, że to bardzo „godna osoba". Natomiast pani „Ksawerowa" nie zupełnie zasługiwała na uznanie stróżki, która uważała, że młoda kobieta bierze życie zanadto „lekko". To też uczuła coś nakształt zadowolenia, kiedy zobaczyła bladą i wzruszoną twarz synowej swej chlebodawczyni.

— Mamo... — rzuciła Marion jednym tchem — wracam od Grantouvra. Pułkownik Ksawerego pisał do niego. Donosi mu, że Ksawery zaginął od trzech tygodni. Nie tracą jednak nadziei, że dostał się do niewoli...

Od Montmartre przygotowywała i układała sobie te słowa i wygłosiła je ze spokojem, który ją samą zadziwił. Chciała uniknąć tego, co jednakowoż nastąpiło: stara dama wydała dramatyczny okrzyk i całym ciężarem swego korpulentnego ciała opadła na fotel niby zemdlona.

„Grabarka" uważała, że w takim wypadku może sobie pozwolić na bicie rękami w powietrzu na trzeźwienie kroplami miętowemi i na mokre okłady na głowę. Synowa, która ją dobrze znała, wykonawszy ten cały przepisany rytuał, zaproponowała, że pośle po lekarza. Obawa przed zapłaceniem honoraryum otrzeźwiła nieco oszczędną staruszkę. Pani Darmelle kochała zresztą szczerze swego syna, ból jej nie był komedyą, lecz mieszaniną istotnego cierpienia z tragicznym patosem.

Kiedy odzyskała przytomność umysłu rzekła do synowej:

— Nieprawdaż, moje dziecko, myślisz taksamo, jak i ja, że nasz biedny Ksawery już nie żyje?

Marion gestem rozpaczy potwierdziła to przypuszczenie.

— Widzisz więc teraz, że rozsądniej byłoby postąpić według moich rad i przywdziać zawczasu żałobę.

Ta dziwaczna wymówka „grabarki" rozdrażniła młodą kobietę.

— Obawiałabym się przynieść nieszczęście mężowi — odrzuciła dość szorstko Marion — żałoby nie włożę dopóki wiadomość o jego śmierci nie będzie pewną!

— Bardzo niesłusznie postąpisz — oświadczyła surowo teściowa — i narazisz się na to, że cię ludzie źle osądzą. Uważam również, że należy obecnie odwlec zaręczyny Franciszka.

— I dlaczegóż to?

— Dlatego, że zaręczyny zwłaszcza w tak młodym wieku związane są z pojęciem czegoś wesołego, radosnego. A przyznasz chyba sama...

Marion czuła całą śmieszność podobnej dyskusyi. Aby uniknąć nowych ataków staruszki odrzekła wymijająco:

— Zobaczymy jeszcze, jak to będzie.

Pani Darmelle podjęła zaś znowu w dalszym ciągu swe patetyczne lamenty.

— Mój Ksawery!... O Boże! mój Ksawery taki rozumny, taki dobry, czyż to możliwe, aby już nigdy więcej...

Ten potok teatralnych frazesów zirytował Marion do tego stopnia, że przypuszczalna śmierć męża zaczęła się jej wydawać mniej pewną. Budził się w niej duch opozycyi, gniewne wzburzenie przesłaniało mgłą nieszczęście i wysuszało źródło łez.

Noc otuliła już Paryż, kiedy młodsza pani Darmelle pożegnała wreszcie swą teściową, która przez dobrą godzinę dręczyła ją skargami i niedorzecznemi radami.

Matka Ksawerego usiłowała Marion koniecznie przekonać o tem, że położenie jej materyalne jako wdowy jest bardzo złe, co nie było bynajmniej zgodne z prawdą. Jednocześnie podkreślała, że nie może przyjść synowej z pomocą pieniężną, chociaż ta wcale się tego nie domagała i nie liczyła na tę pomoc. W utyskiwania swoje staruszka wplatała cierpkie bardzo, przejrzyste aluzye.

— Ksawery nie umiał oszczędzać. Wychowanie Franciszka niezupełnie było takie, jak być powinno. Za dużo kosztownych tualet, za dużo wesołych zabaw — mówiła ogólnikowo, nie wymieniając dla kogo to były te tualety i te zabawy.

— Och! och! nieznośna!... okropna baba! — Marion byłaby głośno zawołała to do gwiazd, migoczących na niebie, ale oprzytomnił ją i opamiętał widok Magdaleny Nadon, zapalającej gazową latarnię przed bramą.

ROZDZIAŁ II.

Serce ma swoje prawa.

Nazajutrz Marion wyczerpana wzruszeniem, spała długo. Kiedy się obudziła promienie słońca wdzierały się zwycięzko do sypialni.

Młoda kobieta przeciągnęła się ze snu, ziewnęła jeszcze kilka razy i uczuła, że noc przespana nie uniosła ze sobą ani jej smutku, ani jej szału miłosnego. Martwiła się zniknięciem męża, a marzyła o Klaudyuszu.

Franciszek mężnie przyjął złowróżbną wiadomość i natychmiast uprzedził swa narzeczoną. Ginetta i Janka Etiennant miały przyjść dzisiaj przed śniadaniem. Klaudyusz nie dał znaku życia.

Marion wsunęła pod poduszkę ostatnie listy swego męża. Te opowiadania o wojnie, przeplatane słowami tkliwej tęsknoty, wzruszały ją teraz silniej. Zdawało się jej, że to są listy „z tamtego świata". Odczytywała je zwolna, z uwagą, z pełnem poczuciem ich wartości.

Czyniła sobie wymówki, że w ciągu lat dziewiętnastu odpłacała za tyle miłości tylko rozsądnem, spokojnem przywiązaniem. Jakgdyby większa część jej serca, niezużyta i nietknięta oczekiwała kogoś innego, dla niego zachowując zdolność silnych wzruszeń miłosnych.

Z tego może właśnie wynikały w małżeńskiem pożyciu tarcia i nieporozumienia, które pani Lebien chwytała w lot, wykorzystując jako broń zaczepną przeciwko zięciowi.

To zapewne po ojcu swoim, powieściopisarzu i poecie utalentowanym choć niedocenianym, odziedziczyła Marion te pragnienia nieokreślone, wpół uczuciowe, wpół zmysłowe.

Czytała list męża:

„Moje słodkie kochanie, siedem pełnych dni bez listu od Ciebie — to dużo, a jednak ja czuję, że Ty piszesz do mnie co wieczora. Mam ochotę nie pisać Ci wcale o wojnie, choć ona huczy wokół mnie i ja jestem również jej cząstką. Ta walka staje się dla wielu nas poprostu hałasem codziennym — o! poprostu takie mieszkanie niespokojne, gdzie lokatorom przeszkadzają świsty kul i trzask pękających pocisków.

Pogoda okropna. Brniemy w lepkiem błocie, które utrudnia przenoszenie bateryi. Nieprzyjaciela nie widzi się, ale się go słyszy i on nas słyszy.

Wytłomacz mi takie zjawisko: to nie ten hałas piekielny napełnia moje uszy, ale dźwięczy w nich Twój słodki głos i prosto do serca przenika.

Jesteś ciągle przy mnie, jakgdyby Twój obraz zlewał się w jedną całość z obrazem kraju, Francyi kochanej, której człowiek nigdy za wiele poświęcić nie może..."

Taki liryzm u Ksawerego był czemś zupełnie nowem. Widocznie drzemał na dnie jego duszy i dopiero zbudziła go wojna i rozstanie.

Fanny weszła do sypialni i podała swej pani bilecik. Serce Marion zabiło silniej na widok charakteru pisma. To od Klaudyusza.

„Droga moja przyjaciółko! Może Pani sobie wyobrazić, jakim głębokim smutkiem napełniło mnie zniknięcie Ksawerego. Nie chcę jednak tracić nadziei. Wszystko się zdarza i zdarzyć może, nawet radosna niespodzianka w tych czasach straszliwych lecz obfitujących w cuda. Może zobaczę jeszcze przyjaciela młodości mojej... Skoro skończę zajęcia w szpitalu, zajdę do Pani.

Z braterskiem pozdrowieniem

Klaudysz".

Nie podpisał on tylko „Klaudyusz", lecz i początkową literę swego nazwiska. Jednak to „E" było takie jakieś niewyraźne, jakby wstydziło się samo siebie.

Marion uśmiechnęła się na to „braterskie" pozdrowienie. Każda poczynająca się namiętność miłosna stara się ukryć pod tę osłonkę niewinną a zdradziecką.

— O! mój panie, ty wcale bratem mi nie jesteś — uśmiechnęła się sama do siebie piękna Marion.

Żar jakiś rozkoszny przebiegł ciało kobiety. Ruchem leniwej, rozpieszczonej kotki wsunęła się pod kołdrę. Ogarniało ją rozmarzenie. W braku Klaudyusza samego miała myśl o nim.

Powtarzała sobie: „to źle, to bardzo źle", ale powtarzała to w ten sposób, jak dziecko uczące się obojętnej lekcyi.

Jako rekompensatę obiecywała sobie, że codziennie rano i wieczorem będzie modlić się za Ksawerego i będzie o nim częste i długie rozmowy prowadzić z Franciszkiem.

Pojawienie się pani Lebien zmieniło bieg myśli jej córki. Ta szanowna niewiasta, dowiedziawszy się o tem, że znienawidzony przez nią zięć zaginął, postanowiła zamaskować swoje zadowolenie płaczliwą miną, która dziwnie nieodpowiednio wyglądała na jej regularnej, spokojnej, pełnej twarzy starej kokietki i sybarytki.

Zdradzały ją jednak ruchy żywsze i lżejsze niż zwykle oraz iskry błyszczące na dnie oczu. Głos, jakim przemawiała, przybrał ton przygnębienia.

Marion, która znała doskonale swoją matkę, spostrzegła odrazu to wszystko, co ją znowu zirytowało i podrażniło.

Pani Lebien zaczęła z córką rozmowę na temat, który ją równie albo nawet więcej zajmował, jak starszą panią Darmelle. Podjęła kwestyę pieniężną.

— Jak ureguluje się nowy budżet?

— Ależ, mamo, to dopiero wtedy będzie mogło być uregulowane, kiedy wiadomość o śmierci mego męża zostanie oficyalnie potwierdzoną.

— Oczywiście, moje dziecko. To też ja myślę o przezorności na przyszłość. Jaki kapitał możesz mieć do rozporządzenia?

— Coś około stu tysięcy franków.

— To niedużo... zwłaszcza w obecnych warunkach.

— Nie możemy narzekać. Iluż to ludzi przed kilku miesiącami zamożnych pozostało teraz bez grosza. Z tych stu tysięcy pięćdziesiąt przeznaczam na wiano dla Franciszka.

Pani Lebien aż podskoczyła.

— Jakto, jeszcze obecnie, w tej nowej sytuacyi, myślisz o tem małżeństwie?! I sądzisz, że Etiennant'owie będą tego samego zdania, że ich plany nie ulegną zmianie?

— Zaiste, okazaliby się dziwnymi przyjaciółmi.

— Tylko przezornymi rodzicami!

— Zdaje mi się, że słyszę moją teściową. Mamo! to wstrętem mnie przejmuje rozstrząsanie tego rodzaju spraw w takiej chwili. Jeżeli dojdę do ruiny majątkowej, to będę walczyła z losem, będę pracowała. Może mama być spokojną o swoje drogie pieniądze. Nigdy mamy o nic nie poproszę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Sprawa przedstawicielstwa zaboru pruskiego w Sejmie.

Komisya konstytucyjna pod przewodnictwem posła Seydy obradowała nad sprawą przedstawicielstwa dzielnicy pruskiej w Sejmie.

Zgłoszone podczas dyskusyi wnioski odstąpiono do rozpatrzenia wybranemu w tym celu subkomitetowi z siodmiu członków, do którego poszczególne kluby wysyłają swoich przedstawicieli.

Wniosek klubu Polskiego stronnictwa ludowego



Z walk na Wołyniu: Generał Edward Smigły-Rydz (Fot ks. H. Ciepichał.)



Zaprzysiężenie pracowników poczty: Zgromadzeni urzędnicy w westybulu głównej poczty w Krakowie, w czasie przysięgi.

sprzeciwia się wprowadzeniu jakichkolwiek osób, nie obranych na podstawie ogólnej ordynacyi wyborczej i domaga się natychmiast przeprowadzenia wyborów w tej części Poznańskiego, gdzie to się okaże technicznie możliwem. W razie nieosiągnięcia zgody komisyi konstytucyjnej na to stanowisko klub posłów P. S. L. żąda uznania wotum mniejszości i przekazania dyskusyi na plenum.

Wniosek posła Marka wzywa rząd, aby przystąpił natychmiast do rozpisania wyborów w tych okręgach zaboru pruskiego, które są wolne od wroga.

Wniosek posła Zagórskiego domaga się, aby do czasu przeprowadzenia wyborów członkowie Naczelnej Rady Ludowej byli wprowadzeni do Sejmu jako natychmiastowi posłowie.

Wniosek posła Bardla żąda, aby Naczelna Rada Ludowa na tych obszarach ziem polskich, które jarzma pruskiego zrzucić jeszcze nie zdołały i gdzie wskutek tego wybory do Sejmu ustawodawczego odbyć się nie mogą, zarządziła przeprowadzenie wyborów posłów przez zwołane wyłącznie w tym celu zgromadzenia członków stowarzyszeń politycznych i społecznych, oświatowych i gospodarczych tamże istniejących, przy zastosowaniu zasady, że na 50 000 ludności polskiej przypaść ma jeden poseł. Mandaty poznańskie przez Sejm za ważne uznane, trwają tylko do czasu przeprowadzenia wyborów na podstawie obowiązującej ordynacyi wyborczej. Na tych obszarach ziem polskich, które się już z pod władzy niemieckiej uwolniły, wniosek domaga się niezwłocznego przeprowadzenia wyboru posłów do Sejmu ustawodawczego na podstawie obowiązującej ordynacyi wyborczej.





Uszkodzony gmach sądu wyższego karnego. **W bombardowanym Lwowie**: Drugi granat w gmachu Namiestnictwa.

Kronika tygodniowa

Pisząc poprzednią kronikę, tak miałem głowę nabitą polityką, iż w zupełności o tem zapomniałem, że to karnawał się kończy i powinno się być wesoło nastrojonym. Ale trudno! Kto się w karnawale nie bawił, dla tego nie istnieje i tłusty czwartek i ostatki, choć mamy te ostatnie jak rok długi, gdyż każdy i każda z nas ostatkami goni, o ile *nota bene* nie jest członkiem czynnym cechu paskarzy, rozwiniętego dziś u nas do ostatecznych granic.

Powiadam wyraźnie „członkiem czynnym", gdyż cech ten ma i członków wspierających, ale ci ostatni do tamtych ani się umyli, bo gdy pierwsi sprzedają, ci drudzy od nich kupnją i napychają ich bezdenne kieszenie swym ciężko zapracowanym groszem.

Dzisiejszą kronikę, która jest pierwszą z szeregu sześciu wielkopostnych, rozpoczynam w sam „tłusty czwartek", nic też dziwnego, że mi się bynajmniej na wesołość nie zbiera. Po inne lata, przed wojną, używało się w tym dniu na pączkach, dziś żyje się tylko ich wspomnieniem i... łyka ślinkę, bo rzadko kogo, a tem mniej biednego dziennikarza (ja jestem nawet tylko „tygodniarzem...") stać na to, by sobie na podobny zbytek mógł pozwolić.

Poczciwa moja Weronika wydobyła w tym dniu ze szafy wiekopomne dzieło ś. p. Ćwierciakiewiczowej (jedyna z kobiet, dla której mam respekt, jako dla autorki...) p. t. „Jedynie praktyczne przepisy pieczenia ciast i smażenia konfitur" i rzuciwszy okiem na rozdział, zatytułowany „Pączki", a zaczynający się od słów: „Bierze się sześć jaj, łyżkę świeżego masła.. " rzuciła nią o ziemię (książką, nie łyżką świeżego masła!..) i rzewnemi zalała się łzami...

Bo w samej rzeczy coś podobnego brzmi dziś jak bajka z tysiąca i jednej nocy, choćby tylko z tego powodu, iż w tym tygodniu otrzymaliśmy na legitymacyę mączną dwa kilogramy pęcaku i kilogram soli.

Z pod znaku pączka, którego w tym roku nie było, wchodzimy więc w znak śledzia, ale i tego nie będzie. Neutralna zagranica sprzedawała nam w czasie wojennym śledzie, wprawdzie zgniłe, ale w każdym razie śledzie, obecnie należą one u nas do nadzwyczajnej rzadkości i stanowią potrawę, podawaną jedynie na magnackich stołach. Jeśli ziszczą się obietnice koalicyi, iż będziemy mieć dostęp do morza, *ergo* i własne śledzie, wtedy dopiero powetujemy sobie obecne braki, na razie przecież musimy się obejść tylko smakiem.

Ale kto w karnawale nie używał na pączkach, ten w czasie wielkopostnym wytrzyma i bez śledzi, zwłaszcza, że my nauczyliśmy się już obchodzić bez różnych rzeczy, które, jak się dawniej wydawało, są konieczne do utrzymania życia. Dziś dopiero widzimy, że to był głupi i przestarzały przesąd. Jeśli tak dalej pójdzie, to my wogóle odzwyczaimy się od jedzenia i picia i to będzie jedyne dobre następstwo wszechświatowej wojny.

Popielec tegoroczny będziemy więc obchodzić bez śledzia, ale co ważniejsze i bez popiołu, bo skąd go wziąć, gdy ogniska domowe z powodu braku opału wygasły. Dzięki Bogu, że przynajmniej tegoroczna zima jest lekka, gdyż w przeciwnym razie obok śmierci z głodu, groziłaby nam i z przemarznięcia. Dopiero początek marca, więc nie można być pewnym, czy się zima o swoje prawa jeszcze nie upomni, ale w Panu Bogu nadzieja, że to już długo nie potrwa. Niedźwiedź w dniu Matki Boskiej Gromnicznej zwalił budę, obecnie święty Maciej „zimę stracił", możemy więc odetchnąć jakoś swobodniej, bo najgorsze czasy już chyba minęły bezpowrotnie.

„Gorzkie żale" śpiewają dziś po kościołach, gorzkie żale wywodzi każdy w cichości, pędząc coraz mizerniejszy żywot, więc też i kronikarz nie może psuć ogólnej harmonii, ale musi nastroić swą lirę wedle wspólnego kamertonu co mu przyjdzie tem łatwiej, iż od jakiegoś czasu cierpi na wątrobę, musi więc być żółciowo usposobionym.

A do tego przyłączają się jeszcze i rozmaite inne tak zwane „przyjemności życiowe.".

Ot, nie dawniej jak wczoraj spotkałem jednego ze znajomych, który ma do mnie uzasadnioną zresztą zupełnie pretensyę, iż poprzednią kroniką wprowadziłem go w błąd i pomieszałem wszelkie jego kombinacye polityczne.

— Mój panie łaskawy! — tak mówił. — Jakże można było pisać, że Czesi pakują kufry i mają zamiar opuścić Śląsk Cieszyński, skoro dzisiejsze telegramy donoszą, że pomimo rozejmu, jaki mają z nami, przygotowują się do nowej ofenzywy. Być może, że pójdą sobie ze Śląska, ale nie tam, skąd przyszli, ale naprzód, to jest ku Krakowowi, by ratować swych braci, tak przez nas srodze ciemiężonych.

Wytłumaczyłem mu, że ja w tym wypadku żadnej winy nie ponoszę, ale moi informatorzy, to jest telegramy, jakie przyniosły pisma codzienne w tym czasie, gdy zajęty byłem kronikarską pracą. Wtedy pisano raz, że Rada Narodowa Śląska jedzie już do Cieszyna, zaraz potem, że wróciła się do Bielska, potem znów do Cieszyna, wreszcie, że się zdecydowała i siedzi w Krakowie. Ja też, wspominając o tem, użyłem na wszelki wypadek wyrażenia „podobno", dodając od siebie, że temu jednak nie wierzę aby Czesi mieli Śląsk opuścić, gdyż co raz dostało im się w łapę, to się już pewnie nie odlepi. A że mają lepkie ręce, to wie każdy.

To jednak ciekawe, w którą stronę skierowaną będzie ta nowa ich ofenzywa, bo chyba nie na Galicyę, choć kto wie, czy się tymczasem nie znalazł jaki czeski historyk, który, dowiedziawszy się przez „konfidentów wojskowych", że my mamy wprawdzie wielu oficerów, ale wojska mało, amunicyi zaś jeszcze mniej, orzekł, że Galicya aż po San jest rdzennie czeska i należy ją zagarnąć. A ten uczony miałby o tyle racyę, że w samej rzeczy swojego czasu krzewili u nas „austryacką kulturę" przeważnie same Precliczki, Wiskocziile, Zawadile i inni, im podobni.

Mają więc Czesi nieprzedawnione prawa bodaj do Galicyi zachodniej, wschodnią zostawiając Ukraińcom, z których reprezentantami dali sobie już oficyalnie buzi na praskim Zamku.

A potem czeski rząd umyje ręce i powie, że się to stało bez jego wiedzy i zezwolenia. Żołnierzy, gdy widzieli, że kraj ogołocony z wojska, uniósł rycerski animusz, (w wojnie światowej jakoś go nie okazywali!...), a gdy jakaś ziemia jest już krwią czeską zroszona, to rząd traci swą władzę wobec armii.

Tak przynajmniej tłumaczy się Praga wobec świata i koalicyi ze swych odwiedzin na Śląsku Cieszyńskim. Jeśli się będzie rozchodzić o Galicyę, można będzie powtórzyć to samo, a z pewnością znajdą się tacy, którzy w to uwierzą.

Czesi wybierają się pono i na Śląsk pruski, stamtąd już niedaleko do Gdańska (przynajmniej można jechać bez paszportu...), więc będzie i dostęp do morza.

W ten sposób wytłumaczyłem się jakoś wobec mego przyjaciela, ale prosił mnie gorąco, bym na przyszłość czegoś podobnego nie robił, wobec czego przyrzekłem mu, że odtąd będę ostrożniejszym, o ile będą w grę wchodzić sprawy polityczne.

Z drugiej znów strony musiałem swym wywodom, również w poprzedniej kronice zamieszczonym, przyznać racyę, gdyż Paderewski w swej mowie powtórzył to samo, że musimy mieć silną armię, a aby ją mieć, należy się postarać o pieniądze na jej utworzenie i wyekwipowanie, niektóre zaś sfery ociągają się z subskrybowaniem pożyczki państwowej. Jota w jotę napisałem i ja to samo i to wcześniej, widocznie więc pan prezydent czytał moją kronikę.

I to mnie cieszy, że się tak zgadzamy, z nami zaś i pan Dmowski, który w swem *exposé* wyraził się zupełnie podobnie. Nie zgadza się zaś z nami towarzysz Ignacy i jego gwardya, dlatego też przeszkadzali ciągle w czasie mowy premiera, ale on, jako wprawny muzyk, ale i mąż wysoce polityczny, taktu bynajmniej nie stracił, owszem, dał nawet jego lekcyę tym, którzy go nie mają.

Warszawa miała sposobność przekonać się, jak wygląda krakowska „wolność słowa" w interpretacyi socyalistów i podobno nie była tem bynajmniej zbudowana.

Ale trudno! Skoro wytykano błędy poprzedniego gabinetu, towarzysz Ignacy nie mógł tego słuchać w milczeniu, boć przecież Moraczewski to był „ich człowiek".

Lecz po co rzucał się ks. Okoń i jego tarnobrzeskie kiełbie? Chyba po to, aby Galicyę na śmiech narazić, że nie miała kogo odpowiedniejszego obdarzyć zaufaniem ludu i to pracującego, a nie politykującego.

Księdza Okonia, gdy mu „stawał okoniem", tak się Paderewski przestraszył, że zaraz po posiedzeniu, jeszcze tego samego wieczora, zgłosił wraz z gabinetem swą dymisyę. Ale jej nie przyjęto, a Piłsudski miał się doń wyrazić w te słowa:

— Bądź pan dobrej myśli!... Nie taki straszny dyabeł, jak go malują! Krowa, która dużo szczeka, mało mleka daje!...

I został pan Paderewski, ale nie mógł zrobić inaczej, skoro swą rezygnacyę cofnął rano i pan Piłsudski, a oni obaj żyją ze sobą w przyjaźni i zgodzie, co, daj Boże, aby trwało jak najdłużej.

Zapuściłem się zupełnie niepotrzebnie w sejmowe sprawy, gdy chciałem tylko zaznaczyć, że cieszy mnie ta jednozgodność, jaka panuje między mną, a panem Paderewskim i że to jest przeciwwagą tej zgryzoty, jaką mi sprawił ów obywatel, pociągający mnie w sprawie czeskiej do odpowiedzialności. Że zaś, kto ma jakiegoś zgryza, chętnie się nim dzieli z drugim, uczyniłem to i ja, zwłaszcza, że jest to zupełnie odpowiedni temat do pierwszej kroniki wielkopostnej.

Ostatecznie przecież przyszli Czesi po rozum do głowy i uratowali mój kronikarski honor, choć znów zadali z drugiej strony kłam memu twierdzeniu, że co się raz przylepi do ich dłoni, to już trudno napowrót odzyskać.

Spakowali w samej rzeczy kufry i wynieśli się z Cieszyna, a na ich miejsce wkroczyło tam polskie wojsko, witane owacyjnie przez ludność tak miasta, jak i okolicy. Choć krótkie były rządy czeskie, ale się dały wszystkim we znaki.

Czy to cofnięcie się można brać na serio, czy też należy się jeszcze spodziewać powrotu nieproszonych gości, tego nikt powiedzieć nie może, a tem mniej kronikarz, nie będący nieomylnym nawet wtedy, gdy ma pióro w ręku i zajęty jest swą urzędową czynnością. Dałby Bóg aby nas już zostawili w spokoju, boć chyba mieli sposobność przekonać się na swej własnej skórze, że jesteśmy dość cierpliwi, ale tylko do pewnych granic i potrafimy się jeszcze upomnieć o swoje i porachować nawet i z „braćmi".

Na razie możemy więc z tej strony liczyć na spokój, może tylko czasowy, ale i taki coś wart. Z Niemcami w Poznańskiem mamy także rozejm, choć walki toczą się ciągle, bo biedne Szwabiska nie mogą się z tem pogodzić, że trzeba oddać to, co się już uważało za swoją własność, choć się do niej przyszło w sposób nieuczciwy. Świeżo zawarliśmy zawieszenie broni i z Ukrainą, obowiązujące do 17 marca. Pozostają nam więc jedynie (prócz Niemców...) rosyjscy bolszewicy.

Jak się Ukraińcy będą zachowywać w czasie rozejmu, tego też nie wiemy, kto jednak zna ich, przypuścić może, że pójdą w ślady swych czeskich przyjaciół i obrócą ten czas na wzmocnienie swego galicyjskiego frontu. Czesi tak zrobili, bo podwieźli w czasie rozejmu wojsko, armaty i amunicyę, ciekawa więc rzecz, dlaczego nie mieliby ich naśladować Ukraińcy, idący z nimi ręka w rękę.

Czesi i Ukraińcy wymieniają między sobą nie tylko czułości, ale i to, co do życia jest bardziej potrzebne, bo oto, jak świeżo czytamy, za „czeski" węgiel z zagłębia śląskiego otrzymują „ukraińską" naftę z Borysławia, a my tymczasem, prawowici właściciele tych artykułów, naprawdę do życia niezbędnych, chuchamy z zimna i siedzimy pociemku.

Podzielili się naszemi szatami, a nam tymczasem wiatr w nos dmucha.

Ale miejmy nadzieję, że ciągle źle nie będzie i raz przecież musi być lepiej.

Ale kiedy?... Niestety i na to pytanie trudno odpowiedzieć, bo u nas psuje się raz to, to znów owo. Dawniej mieliśmy pieniądze, a nie było co za nie kupić (kto inny za nas zjadał!...), dziś stosunki aprowizacyjne nieco się poprawiły, ale zato finanse są pod psem.

Zdaleka świta „lech", (podobno ma zmienić nazwę na „złoty polski".) na razie natomiast dręczy nas jeszcze austryacka korona, tracąca z dnia na dzień coraz bardziej swą wartość. Wystarczy powiedzieć, że za jednego franka, który dawniej kosztował czterdzieści i kilka centów, trzeba dziś płacić cztery i pół korony, a że „lech" ma się równać frankowi wartością, więc my, mieszkańcy byłego zaboru austryackiego przy zmianie waluty wyjdziemy jak Zabłocki na mydle. Zedrą z nas ostatnią koszulę i jeszcze płakać nie pozwolą.

Każdy, kto rozporządza mniejszym lub większym zapasem koron jest więc w strachu, że go „wyreguluja", a to już po raz pierwszy przy zapowiedzianem stemplowaniu koron.

Pozatem jest w obiegu taka moc pieniędzy fałszywych, (dowód, że kwitnie przemysł krajowy...), szczególnie zaś nowych banknotów dwudziestopięciokoronowych i dwustukoronowych, zadrukowanych tylko z jednej strony, a bardzo przypominających etykiety z flaszek piwa, iż nikt ich już nie chce przyjmować. Nawet Bank austro węgierski wyrzekł się swych dzieci i nie chce ich wymieniać. Wystarczy powiedzieć, że banknotów dwustukoronowych, choć dopiero niedawno je wydano, pojawiły się już trzy gatunki fałszywych, tak, że nawet bankowcy wyznać się na nich nie mogą. Z gwiazdką jest zły, bez gwiazdki także podrobiony, nie wie się więc, czy się ma banknot, czy świstek zwykłego i to do tego dość lichego papieru. Więcej na nim warta odwrotna, czysta strona, niż zadrukowana, można na niej bodaj napisać list lub sporządzić wykaz bielizny, danej do prania.

Posiadacze gotówki są więc w kłopocie, sami nie wiedząc „co posiadają", tych kłopotów nie mają natomiast ci, którzy mogliby w Turcyi ubiegać się o posady świętych. Do braku ich już się przyzwyczaili, a dziś powiadają sobie, że nie mieć pieniędzy jest źle, ale mieć je także niedobrze.

Z tygodnia.

Oświadczenie ministra Pichon w sprawie Gdańska.

Dnia 14 lutego francuski minister spraw zagranicznych, Pichon przyjął polską delegacyę prac kongresowych i delegacyę ekonomiczną, prowadzone przez pana Piltza, jako uczestnika prac kongresowych. Po przemowieniach pana Piltza i Pułaskiego zabrał głos minister Pichon, który oświadczył, że Francya zawsze traktowała sprawę Polski jako swoją własną. Zaznaczył, że wszyscy alianci są zgodni, że tylko odrodzona Polska wielka i silna, bardzo silna, może zabezpieczyć koalicyę przed przewagą Niemiec. Staraliśmy się zawsze przeprowadzić postulaty polityczne tyczące się zabezpieczenia Polski. Jeżeli nie osiągnęliśmy jeszcze pełnych rezultatów to nie tracimy nadziei, że to osiągniemy, gdyż w zrozumieniu istoty sprawy polskiej nie ma różnic między aliantami, są tylko różnice w metodach. Wilson umieścił w swoim programie dostęp do morza. Jest to przecież zupełnie jasnem, że Polska nie może mieć innego dostępu do morza jak przez Gdańsk. Uznajemy też w zupełności pretensye Polski do Gdańska. Z pośród niebezpieczeństw, które zagrażają Polsce niebezpieczeństwo niemieckie zostanie, zdaje się, usanięte przez nowy rozejm. Że kongres pokojowy zajmuje się już sprawą Polski świadczy o tem wybranie komisyi dla sprawy polskiej, do której to komisyi wydelegowano pięciu przedstawicieli wielkich mocarstw, po jednym od każdego mocarstwa. Francya wyznaczyła do tej komisyi pana Julesa Cambona. Zadaniem tej komisyi będzie rozpatrzenie sprawy polskiej w całej jej rozciągłości, zbadanie wszystkich materyałów, które nadeśle komisya z Polski. Możecie panowie być pewni, że interesy Polski nie będą pokrzywdzone. Innych członków komisyi dla spraw polskich pan Pichon nie wymienił, zachęcił jednakże delegacyę, aby z Cambonem odbyła konferencyę, chociażby zaraz.

Rusini ostrzeliwali pociąg gen. Barthelemyego.

Misya koalicyjna opuściła 2 marca Lwów pociągiem zwyczajnym Nr. 28, ubranym suto flagami koalicyjnemi. Pomiędzy Gródkiem a Sądową Wisznią Rusini otworzyli silny ogień na pociąg, nie bacząc na flagi koalicyjne i mimo, że byli uprzedzeni, że pociągiem tym będzie jechał generał Barthelemy. Strzały ruskie raniły w pociągu dwóch oficerów polskich, będących w świcie generała Barthelemy. Generał wyszedł bez szwanku.

Zdemaskowani denuncyanci.

Krakowski „Głos Narodu“ w numerze z dnia 28 lutego przynosi niezmiernie ciekawe rewelacye. Podaje bowiem autentyczne odpisy poszczególnych aktów procesowych w sprawie o zdradę stanu, wdrożonej przez c. i k. sąd wojenny przeciw posłowi Zamorskiemu.

Akta te stanowią typowy przykład, jak to garść zdeprawowanych jednostek zajmowała się denuncyowaniem przed władzami austryackiemi rzekomych „rusofilów“ w społeczeństwie polskiem.

Jeden z aktów zawiera zeznania świadka Dra Stanisława Kota, lat 30, urodzonego w Rudzie, rzym. kat., profesora gimnazyalnego, naczelnika biura prasowego Dep. wojskowego sekcyi zachodniej N. K. N. w Jabłonkowie.

Dr. Kot zeznaje: Zgodnie z zeznaniami świadka Dra Józefa Reinhaendlera i Dra M. Kukiela podaję następujące uzupełnienia:

Wszechpolska prasa ukazująca się w Warszawie, Kijowie i we Lwowie, której numera pośrednio wpadły mi w ręce, nietylko cieszy się z rozwiązania Legionu wschodniego i żąda także rozwiązania Legionu zachodniego, ale ogłasza nadto imiennie podpisane oświadczenia pozostałych we Lwowie wszechpolaków, w których oni otwarcie się do tego przyznają i tem chełpią, że rozwiązanie Legionu



O wschodniej granicy Polski: 1 pluton 7. komp. 2 p. p. Legionów, walczący pod wodzą kapitana Mysłowskiego w grupie generała Romera.

wschodniego zostało przez partyę wszechpolską spowodowane i dobrze przygotowane. Odnośne numera pism wyszukam z naszego archiwum i sądowi pocztą nadeślę.

W dalszym ciągu zeznań Dr. Kot denuncyuje Dra Sarzyckiego, Dra profesora Strońskiego i pana Tadeusza Cieńskiego.

Dalej podaje „Głos Narodu“ opinię Dra Taubenschlaga, docenta Wszechnicy Jagiellońskiej udzieloną sądowi polowemu.

Dr. Taubenschlag zeznaje, że zbierał w Krakowie w sprawie o zdradę stanu, wdrożonej przeciw Zamorskiemu materyały literackie. Oświadcza, że Zamorski zajmował się rusofilską propagandą, mającą stanowić jedynie ogniwo w agitacyi, jaką stronnictwo narodowo-demokratyczne w tym kierunku, wedle zeznań Dra Taubenschlaga, uprawiało.

Dr. Taubenschlag cytuje cały szereg artykułów dziennikarskich, mających poprzeć jego denuncyatorskie oskarżenia.

Bardzo charakterystycznym jest również raport osławionego Władysława Studnickiego, przesłany przez tegoż N. K. N., a stamtąd udzielony sądowi polowemu.

Studnicki denuncyuje Cieńskiego, hr. Skarbka, H. Grabskiego, Pasławskiego, Strońskiego, Biegę i Wierczaka.

Jeden ustęp tego raportu brzmi:

W razie wyparcia Rosyan ze Lwowa, Grabski winien być za zdradę stanu rozstrzelany. Cieński, Skarbek i Pasławski (w tym czasie dowódca batalionu 3 pp. ciężko ranny pod Mołotkowem, obecnie pułkownik, dowódca grupy na froncie białoruskim) niezwłocznie internowani do Tyrolu pod ścisły dozór aż do końca wojny.

Udowodnione jest, że Pasławski zdemobilizował Bartoszowców. Stroński, przyjaciel polityczny Dmowskiego, mówił mi, iż nie solidaryzuje się z akcyą Pasławskiego.

Biega i Wierczak niezwłocznie wydaleni z intendantury, gdzie czynili obstrukcyę i postępowali systematycznie w celu rozwalenia Legionów, oraz ze względu na propagandę moskalofilską rozkładową w Legionie ze względu na to, iż poszlaki przeciwko nim zwiększą ich uprzednią działalność panslawistyczną, winni być niezwłocznie osadzeni w Ołomuńcu w twierdzy.

Wszyscy ci denuncyanci mówią o rzekomem „rusofilstwie“ społeczeństwa polskiego. Jeżeli się uwzględni że ten termin był w pojęciu ich jednoznacznym z usposobieniem przyjaznym dla całej ententy, a wrogiem dla Austryi i Prus, to dzisiaj te złą wolą ożywione zwierzenia zauszników czarno-żółtych mogą stanowić cenny dowód, że szerokie koła narodu polskiego od wybuchu wojny aż do jej końca, były do głębi przejęte tęsknotą do zwycięstwa koaliantów, a pogromu prusactwa i jego sprzymierzeńców.

Zniesienie Komisyi Rządzącej w Galicyi.

Komisya, złożona z siedmiu posłów galicyjskich, uchwaliła zniesienie Komisyi Rządzącej w Galicyi. Uchwałę tę przedłożył przewodniczący „Komisyi siedmiu“ rządowi.

Wedle pierwszego punktu tej uchwały Komisyę Rządzącą się znosi. Rada Narodowa na Śląsku pozostaje nadal przedstawicielką interesów Śląska.

Wydziały sprawiedliwości, oświaty, poczt, telegrafów, komunikacyi, zdrowia, opieki społecznej, oraz skarbu, zostają natychmiast przejęte przez właściwe ministerstwa. Ministerstwa te poczynią bezzwłocznie wszystkie zarządzenia, które są potrzebne do natychmiastowego wprowadzenia w życie niniejszego postanowienia.

Co do innych działań administracyi aż do chwili objęcia ich przez rząd, wprowadza się przejściowy zarząd pod kierownictwem generalnego delegata, ustanowionego przez rząd.

5-go marca odbędzie się w Krakowie konferencya przedstawicieli Komisyi Rządzącej i rządu.

Krwawe gwałty czeskie.

Czesi pomimo tymczasowej ugody w sprawie węgla nie dotrzymują jej warunków.

Z powodu tego stan sprawy węglowej jest opłakany i grozi katastrofą nietylko dla przemysłu na Śląsku ale i w całej Polsce. Uwzględniając najkonieczniejsze potrzeby ziem polskich komisya międzykoalicyjna wyznaczyła 8 szybów zagłębia karwińskiego (w Karwinie wszystkie), w Górnej Suchej i w Porębie na potrzeby Polski, z 11 będących pod władzą polską przed napadem czeskim. Czesi nakaz komisyi zignorowali zupełnie. Inspektor węglowy czeski w Morawskiej Ostrawie w dalszym ciągu węgiel z kopalń polskich eksploatuje do Czech. Wobec takiego postępowania patryotyczni górnicy karwińscy uciekli się do jedynej broni, jaką obecnie rozporządzają, do strejku i oświadczyli, że tak długo do pracy nie powrócą, dopoki nie będą mieli pewności, że wydobyty przez nich węgiel pójdzie na potrzeby Polski. Sytuacya jest zupełnie nie wyjaśniona.

W myśl ostatniej ugody przeprowadzonej przez komisyę ententy zarząd cywilny w gminach takich jak Karwina, Dąbrowa, Poręba, Rychwałd, Sucha Góra ma być polski, a Czechom wolno tu utrzymywać narazie tylko małe załogi wojskowe. Czesi jednakże układ ten ignorują. Trzymając przy pomocy wojska całą władzę w swoim ręku, gnębią polską ludność i znienawidzonych przez nich jej przywódców tak z pośród robotników, jak i z pośród inteligencyi. Trzymają ich pod nadzorem policyjnym i nie pozwalają ruszać się z domu. Na do

miar złego od kilku dni wstrzymano zupełnie ruch kolejowy na wszystkich kolejach śląskich, będących pod czeską okupacyą wojskową, a temsamem uniemożliwiono zupełnie przywóz węgla. Z tego powodu musiano wygasić „wysokie piece“ w Trzyńcu, co pociągnęło za sobą przymusowe bezrobocie 4500 robotników tej ogromnej huty żelaznej. Za Trzyńcem pójdą w najbliższych dniach i inne zakłady przemysłowe śląskie i koleje w części zajętej przez Polaków i t. p., nie mówiąc już o gazowniach i zakładach elektrycznych na śląskich ziemiach polskich, które wyłącznie węglem gazowym śląskim posługiwać się muszą. Wobec systematycznego niedotrzymywania ugody przez Czechów, komisya międzykoalicyjna jest zupełnie bezsilna. Wyjechali podobno niektórzy z jej członków do Pragi. aby tam skłonić rząd Massaryka do poszanowania umowy, lecz wątpić należy czy im się to uda.

W poniedziałek wieczorem zaszedł nowy gwałt. Czescy żołnierze zatrzymali setki górników, mieszkających w okolicy Cieszyna, po polskiej stronie linii demarkacyjnej pracujących na kopalniach w Dąbrowie, Karwinie, Łazach i nie puścili ich do pracy! Dzieje się to pod pretekstem stemplowania banknotów na ziemiach czeskich, a przecież w myśl ugody nie wolno Czechom przeprowadzać tu żadnych czynności. Jedyną rzeczą może być silny nacisk rządu warszawskiego na Paryż i rządów ententy, iżby położyły raz wreszcie kres tego rodzaju postępowaniu ze strony Czechów, iżby zmusiły czeskie wojska do opuszczenia Śląska, gdyż dopóki będą istniały tu rządy soldateski czeskiej, wśród której szerzy się coraz większa anarchia i brak wszelkiej dyscypl ny, dopóty żaden układ polsko czeski nie wejdzie w życie.

Od Wydawnictwa.

Wszelkie sprawy redakcyjne i administracyjne załatwia tylko p. Czesław Kciński od godziny 3—5 po południu.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor. M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Pawła Madejskiego.